ROZMAITOŚCI.

Dnia 18 grudnia, N:er 51. roku 1847.

GRYZETA.

(Dokończenie.)

Paulina umyśliła przedsięwziąć coś stanowczego, aby umysł cokolwiek uspokoić. *Morgue*, jest, jakto prawie wszyscy wiedzą, miejsce w Paryżu, gdzie znalezione przypadkiem trupy, na widok wystawiane bywają, aby je poznać można.

Paulina udała się z drzeniem tamże. Droga była bardzo daleka, a skwapliwość Pauliny jeszcze ją dłuższą wyobrażała. Nareszcie ominęła róg placu, na którym rzeczony budynek stoi, i ujrzała Wiktora przed sobą.

»Dokąd idziesz Paulino?«

Paulina skłoniła głowę.

»Nie odpowiadasz?«

Toż samo milczenie.

»Domyślam się twego podejrzenia Paulino» — rzekł Wiktor spokojnie — »Ale pójdź, wstąpimy razem do Morgue.«

To mówiąc ujął drżące ramię kochanki, i zaprowadził ją ku ponuremu budynkowi.

Paulina wzdrygnęła się wchodząc przez próg, lecz postanowiła nie cofnąć się.

Unikała jednak spotkania się z wzrokiem Wiktora.

Nie potrzebujemy opisywać bliżéj tego miejsca. Każdy z naszych czytelników, który był w Paryżu, zwidził je niewątpliwie. Dość powiedzieć, że Paulina obaczywszy ciało topielca, odwróciła się szybko, mówiąc:

»O, nie, to nie on! Pójdźmy.«

W milczeniu wrócił Wiktor z Pauliną do domu. Uczucia obojga były nad wszelki wyraz przykre. Wiktor walczył z miłością i zazdrością, podczas gdy wyższe, szlachetniejsze uczucie — postanowienie wrócenia Paulinie wolności, wszelkiemi jego słowy kierowało, udzielając im pewnéj smętnéj rzewności, która Paulinę bardziéj boleścią przejmowała, niżby to gorzkie uczyniły były wyrzuty. Biedna dziewczyna, nie domyślając się jakie pasmo nieszczęść wokoło niéj się wiązało, nie wchodziła bynajmniéj w głębią swoich uczuć. Uległa urokowi, który na nią Denon wywarł Ale po ścisłém, surowém rozważeniu rzeczy, byłaby uznała, iż poświęciła uczucia swoje nie zupełnie godnemu bożyszczowi. Artysta z Prowancyi oczarował ją, pochlebiał jéj próżności, jednakże nie mogła sama siebie upewnić, że go kocha. Podobnież i stosunek jéj do Wiktora zniechęcił ją. Miała go niesłusznie w podejrzeniu, a to sprawiło, iż się lękała spotkać się z jego oczyma, w które niegdyś z taką szczérością, takiém zaufaniem patrzyła.

Wiktor zabrał głos wreszcie. Siedzieli znowuż w pokoiku Pauliny. Kochanek ujął ją łagodnie za rękę.

»Posłuchaj mię tylko chwilę Paulino« — rzekł, drżąc od wewnętrznego wzruszenia. »Nie będę cię długo zatrzymywał.«

»Słucham, Wiktorze; mów, mów« — ozwała się Paulina z wymuszoną spokojnością, bo chociaż w jego głosie było coś nadzwyczajnie rzewnego, nie chciała przecież dać się rozrzewnić.

»Wiesz, Paulino, żeśmy o naszém bliz-

kiém pobraniu się mówili, i wyglądasz téj chwili.«

«Tak jest.«

»Nie ze wszystkiém Paulino. Przyszedłem ci powiedziéć, że to stać się nie musi, jeźli ty sobie tego nie życzysz. Powiédz: że mnie nie kochasz, a jesteś wolną. Tak Paulino, zupełnie wolną. Pragnę tylko twojego szczęścia; prawda, że co do mnie, nigdy szczęśliwym już nie będę.«

Paulina ciągle jeszcze milczała, lecz tajnie łzę sobie z oka otarła.

»O, Paulino, czyż to istotnie prawdą, że ty tego nieznajomego kochasz? — Jako, dozwalasz mi wyrzec to słowo, dozwalasz mi złamać niém wszystkie nasze przysięgi wiecznéj miłości i wierności, i nic nie odpowiadasz? Muszęż więc ze wszystkiém zrzec się ciebie?«

»Wiktorze, kochałam cię niegdyś, ale...«

»O, Paulino tyś mię nigdy szczérze nie kochała, gdy... Ale nie chcę ci czynić wyrzutów. Nie, tegobym się był nigdy nie spodziéwał, gdym go po raz piérwszy tu przyprowadził. Odpowiedz mi otwarcie na moje zapytanie: czy kochasz Denona?«

»Jakże go kochać mogę? Przecież ze mną o miłości nigdy nie mówił.«

»To znaczy żartowac sobie. Powiédz, mogłażbyś go kochać, gdyby się chciał żenić z tobą?«

Wiktor oczekiwał odpowiedzi z tak widocznem natężeniem, jakby od téj odpowiedzi życie jego zależało. Przytłumił oddech w sobie, i czekał. Nareszcie zimno i stale rzekła Paulina:

»Mogłabym.«

»Kiedy tak, więc życzysz sobie być wolną?« rzekł Wiktor wstając.

»Nieinaczéj Wiktorze, życzę sobie tego; dla czegoż miałabym udawać że cię kocham? Byłoby to srogością, gdybym z témi uczuciami musiała pójść za ciebie; ztémwszystkiém, mamyż się koniecznie w nieprzyjaźni rozstawać?«

»Boże uchowaj! Nie, Paulino. Na matkę najświętszą klnę się, że ci z głębi serca mego przebaczam. Jestem owszem tak słabym, iż ci wyznać muszę, że nawet teraz, gdy się tak ozięble odemnie odwracasz, z duszy cię jeszcze kocham, i kochać będę aż do godziny śmierci; jednakże byłoby to istotnie srogością z mojéj strony, gdybym obecność moję chciał ci narzucać. Więc, Paulino, podaj mi rękę w pożegnanie. Oby niebo ci pobłogosławiło! Oby on cię tak kochał, jak ja cię kochałem. Bądź zdrowa na wieki!«

To rzekłszy wybiegł Wiktor z zakrwawionem sercem z pokoju. W téjże chwili opamiętała się Paulina. Zawołała za nim, pospieszyła na schody, lecz drzwi były już zamknięte, już go niebyło. Tak skończyła się walka, a Wiktor nie życzył sobie powtórzenia téj sceny.

* * *

Wieczór nadszedł, a gryzeta siedziała samotnie w swym pokoiku, rozmyślając nad swojém obejściem się z Wiktorem. Czyniła sobie wyrzuty z powodu swéj niestałości, lecz spodziéwała się przecież że nieznajomy nadejdzie.

O dziewiątéj jeszcze nie było nikogo. Nareszcie usłyszała ciche stąpanie po schodach, i ocucając się z swoich marzeń, osuszyła sobie szybko mokrą powiekę, i przybrała ile możności wesołą minę.

»Proszę wnijść!« — zawołała na zapukanie tak ochoczo, jak tylko na sobie wymódz to mogła.

A malarz z Prowancyi stanął przed nią.

»Przepraszam jeźli przeszkadzam. Czy pani nie wiész co o swoim przyjacielu Wiktorze?«

»Ja? Nie. Był tu dziś rano, a teraz czy go nié ma w domu?«

»Nie, czekałem jak zwykle na niego; nareszcie myśląc iż mię zapomniał, postanowiłem dowiedzieć się o nim u pani. Chciałem już pójść do *Morgue*, usłyszawszy, że jakiegoś młodego mężczyznę, w Sekwanie znaleziono; lecz zdaje się, iż to był hrabia R., nie wiedzieć jakim sposobem zamordowany. Zapewne w pojedynku. Jestżeś pani sama?«

»O, nie; nie jestem nigdy sama« — odpowiedziała Paulina z wymuszoną wesołością. »Nie będzieszże pan łaskaw usiąść?«

»Jeźli pani pozwolisz, chętnie tu chwilę zostanę. W nieobecności naszego przyjaciela nie mogę nic lepszego uczynić, jak udzielić pani tajemnicy, którą już tak długo na ustach miałem.«

Serce Pauliny rozradowało się. Milczenie jéj dodawało odwagi młodemu artyście.

»Muszę się pani poddać na łaskę lub niełaskę.«

»Do tego nié masz pan pewnie żadnéj przyczyny« — odrzekła z spuszczoném na dół okiem, bawiąc się jedwabnym sznurem swego fartuszka.

»Ale czuję, że to, co mam pani powiedziéć, poniżyć mię może w jéj zdaniu. Widzę sam, że jestem w niebezpieczném położeniu. Lękałem się, aby Wiktor tego z samego początku nie dostrzegł, myśląc, że jako Francuz, mógłby mię może był zdradzić.«

Paulina posądziła artystę o wielką niezgrabność w zagajaniu oświadczeń miłości.

«Od pani spodziéwam się większego pobłażania. Byłem przekonanym, że czyniąc panią moją powierniczką, nie zawiodę się w mém zaufaniu.«

»Na to możesz pan liczyć z pewnością.«

»A więc przystąpmy wreszcie do rzeczy. Piérwszego wieczora kiedyś mię pani ledwie poznała, zdziwiła panią moja wymowa, z któréj wniosłaś, że nie jestem Francuzem.«

»Nie Francuzem? Pan jesteś więc....«

»Anglikiem« — odpowiedział.

»Czy podobna?«

»A pani tego nie uważałaś?«

»Ach, tak, przypominam sobie, że piérwszego wieczora wpadłam na domysł podobny, lecz pan opowiedziałeś nam swoją historyję a ja uwierzyłam panu.«

»Niepotrzebnie więc zdradzam się sam w téj chwili. Ale gdy już zacząłem, muszę skończyć. Jestem Anglikiem. Mam w Anglii żonę i dzieci, do których powrócić pragnę.«

Na te słowa zbladła Paulina jak śmierć. Ledwie jéj serce nie pękło. Biédny Wiktorze!

»Choroba i sprawy osobiste, odnoszące się do polityki, zatrzymały mię we Francyi. Teraz zamiarem moim jest, pozostać spokojnie w Paryżu, aż mi się sposobność bezpiecznego powrotu do ojczyzny nie zdarzy. Upraszam panią, abyś o mnie nigdy inaczéj jak tylko jako o Francuzie mówiła. Życie moje zawisło od tego. Oto cała moja tajemnica. Mogęż być pewnym słowa pani?«

»Zupełnie.«

»Dziękuję pani. Lękałem się w istocie, żeś moje *incognito* odkryła, a jedno niebaczne słowo, mogło najzgubniejsze miéć skutki. Wierz pani jednak, że wróciwszy bezpiecznie do Anglii, nie zapomnę nigdy uprzejmego przyjęcia, jakiego ze strony pani i Wiktora doznałem.«

Jakże chłodno dotknęły te słowa serce Pauliny! Otoż koniec jéj świetnych rojeń! Artysta nie kochał jéj, a Wiktora nie było.

»Gdzież Wiktor dziś w wieczór bawić może?« spytał Anglik.

»Nie wiém« — odpowiedziała Paulina.

»Pójdę szukać go. Dobra-noc.«

»Dobra-noc.«

Tak rozstali się oboje, i nigdy się już więcéj nie widzieli.

* * *

Czas mijał, pogrążona w smutku Paulina płakała często gorzkiemi łzami nad swą przeszłością. Musiała drogo swoję mniemaną zdobycz przepłacić. Odstręczyła sobie wierne serce i napełniła je żalem. Lubo upokorzona pomyłką, uczuła teraz, że miłość jéj do artysty, nie była nigdy namiętną, i dziwiło ją prawdziwie, jak mogła Wiktora widziéć smutnym, nie będąc wzruszoną tym widokiem. Wszakże skrucha jéj przyszła za późno. Już go nie było. Postanowiła więc, całe swe dalsze życie pamięci jego poświęcić i nie myśléć więcéj o miłości. Miała wyraźny wstręt od niéj; ale marząc niekiedy o przeszłości, nie zapominała także o dniu dzisiejszym, starając się o dostatni zarobek,

co téż szczęśliwie się jéj powiodło. Wielu zgłaszało się późniéj o jéj rękę, gdyż dojrzawszy, była tém piękniejszą, ale nikt posłuchu nie znalazł. Raz w życiu sprzeniewierzyła się ona Wiktorowi, zatoż chciała teraz czcić pamięć jego. Zresztą, nie mogło dawne jéj przywiązanie do niego, zatrzéć się zewszystkiem w jéj sercu, a może miała téż jeszcze nadzieję obaczenia go kiedyś.

Jednakże dwa, trzy lata minęły a Wiktor nie wracał. Zapewne ożenił się, myślała Paulina, i zapomniał już o mnie.

A myśl ta gorzkie jéj z oczu łzy wycisnęła. Zdało się jéj, że dość już pokutowała, a może téż inni równego byli zdania.

Jednego wieczora siedziała Paulina, jak zwykle w swym pokoiku — tym pokoiku, który był świadkiem tylu, tak różnych uczuć. Stół był nakryty, lecz dla jednéj tylko osoby. Wieczerza stała jeszcze nietknięta.

Paulina była zadumana.

»O, Wiktorze, Wiktorze, gdzież jesteś!« westchnęła ze łzami. W téj chwili dał się słyszéć szelest za drzwiami, a głos znajomy, który jéj dawno minione sceny w pamięci odświeżył, ozwał się zcicha: »Paulino!«

Z głośnym wykrzykiem zerwała się Paulina z krzesła, i rzuciła się naprzeciw kochanka, gdyż onto stanął przed nią.

»Jestżeś mi rada, Paulino?« spytał, obejmując ją czule.

»O, Wiktorze, czyż możesz jeszcze pytać? O, drogi Wiktorze, więc przecież raz powróciłeś!«

»Tak Paulino, wracam do ciebie. Opuściłem naówczas Paryż, i pospieszyłem do rodzinnego miasteczka, gdzie wszyscy z radością mię przyjęli, lecz serce moje pozostało w tém wielkiem mieście. Myślałem żeś poszła za niego. Doniosłem mu, że jesteś wolną, lecz mi nie odpisał, gdyż nie wiedział, gdzie bawiłem.«

»Raz tylko po twojém opuszczeniu mię, widziałam się z nim, Wiktorze.«

»Wiém o wszystkiém. Pisał on późniéj do mnie. Jest teraz w Anglii.

»Cieszy mię to« — przejęła Paulina.

»List jego był do mego poprzedniego mieszkania zaadresowany, i tylko przypadkiem w ręce moje się dostał. Wróciłem więc czémprędzéj do Paryża, aby obaczyć, czy sobie jeszcze przypominasz Wiktora.«

Nie potrzebujemy rozwodzić się nad dalszemi oświadczeniami miłości obojga. Oboje zmędrzeli doświadczeniem. Paulina nauczyła się przestawać na hołdach jednego serca wiernego, a Wiktor — nie działać tak porywczo.

Przyszłość ich była szczęśliwą, i nieraz w późniejszych latach przypominali sobie z uśmiéchem tajemniczego artystę z Prowancyi i nieroztropność gryzety.

Dobosz Bilboquet.

W r. 1812 miał 9ty pułk linijowy armii francuzkiéj małego, ledwie dziesięcioletniego dobosza, który był niejako »synem pułku,« i właściwie Frelut nazywał się, lecz u żołnierzy pod imieniem *Bilboquet* słynął. Jakoż w istocie był on tak szczupłym i sztywnym, miał tak dużą głowę na cienkiéj szyi siedzącą, że podobnym był do znanéj we Francyi zabawki, po któréj go przezwano. Zresztą nie odznaczał się nasz Bilboquet żadnym osobliwszym rysem charakteru. Przełożony *tambour-major* musiał mu nieraz swoją ogromną laską takt na plecach wybijać, zanim harmonija bębnowa przestała mu być tajemnicą. Więcéj nie mamy co o jego wojskowym zawodzie powiedzieć. Lada fletnista pułkowy nosił swoję czapeczkę z kutasikiem zgrabniéj niż on, a gibka kibitność starszych doboszów, pozostała dla niego na zawsze nieosiągnionym ideałem. To też pomiędzy kolegami nie miał on wielkiego poszanowania, a bawiąc się z nimi w różne gry żołnierskie, bywał zwykle ogranym, musiał nieraz skórą niedoświadczenie swoje przypłacić, i odchodził najczęściéj z płaczem i obrzmiałą od razów ręką, powszechném jeszcze pośmiewiskiem i bolesnym przydomkiem »Beksa!« pożegnany. Jeźli nazajutrz przyszło stanąć do mustry, były

ręce jego zazwyczaj jeszcze opuchłe, a słabo trzymane pałeczki biegały wcale nieharmonijnie po bębnie, i sama nawet laska *tambour-major'a*, przypominająca się plecom malca, nie była czasem w stanie takt zupełnie przywrócić. Zapewneż każdy się zgodzi na to, że biédny Bilboquet miał wszelkie powody użalać się na sławę wojenną; jakoż od dnia do dnia stawał się coraz bardziéj posępnym i zdala od towarzyszów stronił.

Dnia jednego — byłoto 27 lipca — otrzymał dowodzący pułkiem Bilboquet'a jenerał rozkaz od samego cesarza, aby wziął szturmem stanowisko nieprzyjacielskie, bronione széroką fosą i bateryją o sześciu działach, które całe szeregi wojska zmiatały. Przedewszystkiém należało opanować bateryję. Adjutant jenerała nadleciał w pobliże naszego dobosza i przyniósł tam stojącym kompaniom woltyżerów rozkaz uderzenia na bateryję. Byłato ślizka sprawa, gdyż w najlepszym razie, można było się założyć, że trzy czwarte części szturmujących, na placu padną. Jakoż mimo niejednego dowodu nieustraszoności, jakim woltyżerowie się wsławili; nie spieszyło się im bynajmniéj w tym razie. Spoglądali po sobie, potrząsali głową, ściskali ramionami, ba, kilku starych wskazało na armaty i mruknęło sobie zcicha coś podobnego: »Cożto u licha, czyż jenerał myśli, że ci tam gotowanémi ziemniakami na nas ciskają?« — albo— »Czyż jenerał umyślił zrobić z nas jatki dla kozaków, że nas dwiestu przeciw reducie wyprawia?« — »Żołnierze!« krzyknął adjutant — »jestto rozkaz cesarza!« i pognał cwałem daléj. »Cesarza?!« powtórzyli woltyżerowie. »A, to co innego! Czemuż nam tego od razu nie powiedział!« mruknął jeden ze starszych i zatkał bagnet na lufę. »No, daléj dzieci, nie dajmy czekać »małemu kapralowi.« Bo gdy ten powié: »Naprzód, dajcie się na śmierć posiekać« — wtedy nie wsmak mu, jeźli ktoś długo nad tém rozmyśla.«

Ztémwszystkiém rozmyślała jeszcze kompanija, i już po dwakroć wydał kapitan rozkaz, aby *tambour-major* z kilką doboszami naprzód wystąpił i do ataku uderzył. Atoli *tambour-major* stał ciągle oparty o swoję laskę, i ani z miejsca się ruszył. Gdy to się działo, Bilboquet siedział okrakiem na swoim bębnie, i spoglądając na kapitana, gwizdał sobie marsz pospieszny, i palcami w powietrzu wybębniał krok bojowy. Nareszcie wydano po raz trzeci rozkaz. *Tambour-major* ciągle jeszcze rozmyślał, aż oto Bilboquet zrywa się nagle, przypina do boku bęben, chwyta pałeczki, i przechodząc popod nos *tambour-majorowi*, ze wzgardą się doń odzywa: »No, rusz-że się raz, nieśmiały drągu!«

Laska obrażonego *tambour-majora* wzniosła się ponad grzbietem Bilboquet'a, lecz nasz mały dobosz dał susa i stanąwszy na czele obudwóch kompanii, bębnił do szturmu jak szalony. Woltyżerowie nie byli zdolni oprzéć się temu hasłu, i ruszyli śmiało za Bilboquetem przeciw reducie. Za jednym razem zagrzmiały wszystkie sześć działa, i niejeden waleczny powalił się o ziemię, nim się jeszcze biegiem znużył. Dym i kurz zaćmiły bojowisko, a środkiem wiru zawarczały kule — ale po chwili wróciła znowuż jasność i cisza. Wtedy okazał się Bilboquet o dwadzieścia kroków przed kompaniją, i idąc ciągle naprzód, bił z taką siłą w bęben, jakby miał nieprzyjaciela pod swemi pałeczkami. Odurzenie, w jakie wprawiło go niebezpieczeństwo, udziela się żołnierzom, biegą na wyścigi za nim, lecz powtórna salwa bateryi uderza śmiertelnym gradem na nich, a z dwiestu, którzy do tego morderczego dzieła się wzięli, jeszcze tylko pięddziesięciu pozostało. Na to, święty szał zemsty ogarnął Bilboqueta, srogi duch bitew włada jego rękoma, i jakby dwadzieścia bębnów, grzmi bęben jego. Jeszcze raz rozpędzili się woltyżerowie, i z Bilboquetem na czele, opanowali bateryję.

Podczas gdy to się działo, stał cesarz opodal na wzgórzu, i przypatrywał się téj garstce walecznych. Po wzięciu reduty, opuścił dalowid, i mruknął z zadowoleniem: »Zuchy!« A za nim dziesięć tysięcy innych zuchów, starych gwardzistów, którzy na takich rzeczach się

znali, klasnęło w dłonie, wołając: *»Bravo! Bravo!* Górą woltyżerowie!« Napoleon wyprawił jednego z adjutantów do zdobytéj bateryi, i zapytał wracającego: »Iluż z nich tam się przedarło?« — »Dwudziestu-jeden, sire« — odrzekł adjutant. — »Dwadzieścia jeden krzyżów legii honorowéj na jutro!« — rzekł cesarz, zwracając się do poblizkiego jenerała.

Jakoż cały dziewiąty pułk ustawił się nazajutrz w półkole, i przyjął w swoje szeregi resztkę obudwóch kompanij woltyżerskich. Wywołano z kolei nazwiska dwudziestu i jednego walecznych, i przypięto każdemu krzyż legii honorowéj.

Skończył się obrzęd wojskowy, i już wszyscy rozejść się mieli, gdy wtém ktoś z szeregu głosem zadziwienia się ozwał: »A jaż?.... ja nic nie dostanę?« — Jenerał rozdający krzyże obejrzał się, i obaczył naszego małego dobosza zapérzonego gniéwem, z zapłakanémi oczyma. — »Ty?« zapytał — »Czegoż ty chcesz?«

»Ależ jenerale, ja byłem przy tém« — odpowiedział Bilboquet śmiało — »ja-to uderzyłem do szturmu, ja-to byłem piérwszy w bateryi.«

»Zapomniano cię malcze?« rzekł jenerał. »Bo też jesteś zaprawdę jeszcze zbyt mały. Jak będziesz miał brodę, otrzymasz krzyż niezawodnie. Tymczasem poprzestań na t é m.«

To mówiąc, chciał jenerał biédnemu Bilboquetowi dukata w rękę wcisnąć. Malec usunął rękę, spojrzał na pieniądz, i nie wziął go. W około panowała głęboka cisza, na wszystkich twarzach widać było spółczucie dla pacholika, któremu łzy ciurkiem po licach się puściły. Miano właśnie jednogłośnie za nim się wstawić, gdy malec naraz wzniósł głowę w górę, jakby wielkie powziął postanowienie, i rzekł do jenerała: »Dobrze, daj mi jenerale dukata, będę najbliższéj sposobności czekał.« Poczém wziąwszy pieniądz, włożył go obojętnie do kieszeni.

Od tego czasu nie drwiono już z małego Bilboqueta, ale i on też unikał towarzyskości. Chodził mu widocznie jakiś wielki zamysł po głowie, i zamiast uczęstować kolegów za otrzymanego dukata, jak się powszechnie spodziéwano, schował go owszem starannie.

Wkrótce po tém zdarzeniu — działo się to podczas wyprawy do Moskwy — Francuzi wkroczyli do Smoleńska. Był też tam nasz Bilboquet, uradowany widokiem piérwszego ludniejszego miasta rosyjskiego. Po odbytéj służbie, zaczął się ciekawie przechadzać po mieście. Najszczególniéj zajmowały go twarze mieszkańców; przypatrywał się im tak pilnie, jak się przypatruje kupiec towarom, których chce nabyć. Wszelako oględziny te niewypadły, jak się zdało, bardzo pomyślnie. Bilboquet krzywił nosem, bo jego towarem, którego szukał, były piękne, krzaczyste, czarne brody, a brody wszystkich prawie rosyjskich mużyków, jakich podówczas wielu w Smoleńsku się zgromadziło; były wprawdzie bardzo długie i gęste, ale — rude. Poszedł więc niezadowolony daléj, i dostał się wreszcie na żydowskie przedmieście. Dopiéro tam zobaczył podostatkiem, czego serce jego pragnęło. Brody Żydów smoleńskich nie ustępowały brodom mużyków ani w gęstości ani długości, a były przytém czarne jak węgiel. Minął tedy Bilboquet jednę i drugą budę, i stanął wreszcie przed kramem, gdzie obaczył Żyda, mającego najpiękniejszą brodę, jaką mu się ujrzeć zdarzyło. Żyd wyszedł naprzeciw małego Francuzika, i spytał grzecznie:

»Czego paniczowi potrzeba?«

»Twojéj brody« — odrzekł Bilboquet.

»Mojéj brody? — ozwał się Żyd z uśmiéchem — »panicz żartuje.«

»Mówię ci, niewolniku, chcę twojéj brody« — powtórzył Bilboquet, uderzając ręką o pałasz. »Ale nie myśl sobie, że ci ją gwałtem chcę wydrzéć. Oto masz napoleondora, i zdaj mi resztę.«

Biédny Żyd ośmielił się czynić jeszcze niektóre przedstawienia, lecz mały dobosz był uparty jak koń ślepy; sprzeczka stawała się coraz głośniejsza, i przyciągnęła jesze kilku innych żołnierzy. Wszystkim podobał się niewymownie figiel Bilboqueta, a obecny temu balwierz pułkowy, dobył bez dalszych zachodów

brzytwy z kieszeni, i natychmiast, bez wody i mydła, zaczął golić biédnego Żyda. Naskrobawszy się go niemiłosiernie, wręczył Bilboquetowi żniwo swoich postrzyżyn.

Bilboquet poszedł z odstrzyżoną brodą do koszar, kazał ją sobie przez krawca pułkowego do kawałka skóry z rozdartego bębna przyszyć, i nie mówiąc nikomu, co z tém czynić zamyśla, schował wszystko do tornistra. Przez kilka dni mówiono o tém w pułku, lecz wkrótce zaszły ważniejsze zdarzenia; a gdy wojska francuzkie Moskwę zajęły, nikt już o targu Bilboqueta z Żydem nie myślał.

Tymczasem Moskwa legła w perzynie, armija francuzka rozsypała się, i tylko kilka pułków zostało razem. Do tych właśnie należał pułk Bilboqueta. Dnia jednego miano przebyć niewielką rzekę, a dla powstrzymania ścigających Rosyjan, umyślono wysadzić w powietrze most nad tąż rzeką. Podłożono niezręcznie dwie beczki prochu, które swym wybuchem niezupełny sprawiły skutek. Pozostał jeden łuk, na którym most mógł być wkrótce znowuż odbudowanym. Jenerał rozkazał kilku saperom ten łuk zrąbać, ale gdy ci właśnie do łodzi w tym celu wsiadać chcieli; okazał się nieprzyjaciel po tamtéj stronie rzeki, i rozpoczął tak srogi ogień, że musiano zaniechać planu. W téjże chwili jakiś żołnierz, z siekierą na ramieniu, skoczył w wodę. Dał nurka, spłynął znów na wierzch, a po jego dużéj brodzie można było poznać sapera, który się dla powszechnego dobra poświęca. Pomimo gradu kul dostał się cało aż do łuku. Widzi go już w trzech trzecich częściach nadłomanym, i kilką uderzeniami siekierą, do reszty go obala. Na to pozostałe resztki mostu z gruchotem w wodę się walą, lecz i waleczny saper zarazem znika. Aż oto po chwili wynurza on się zpod zgruchotanych belków i zwraca się ku brzegowi. Czémprędzéj nadbiegają tam koledzy, rzucają mu powrozy, podają mu drągi, sam jenerał podchodzi ku rzece; ale któż opisze jego zdziwienie, gdy oto mały, wyszydzony Bilboquet, z ogromną czarną brodą, z wody ku niemu wyłazi...

»Cóżto jest?« zapytał jenerał. »Co znaczy ta maskarada?«

»Ja to jestem« — odpowié Bilboquet — »któremu jenerale powiedziałeś, iż nie otrzymam krzyża, aż póki nie będę miał brody. Otoż mam brodę, i nie szpetną, jak sądzę; bo też nie żałowałem pieniędzy za nią, a twoje dwadzieścia franków jenerale, poszły do szeląga na to kupno.«

Jenerał zdumiony tylą męztwa i filuteryi, podał Bilboquetowi rękę do uściśnienia jako mężowi, i swój własny krzyż honorowy mu przypiął.

Od tego czasu najstarsi żołnierze obchodzili się po przyjacielsku z Bilboquetem, i nigdy już więcéj laska *tambour-majora*, na jego plecach nie postała.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład **Piotra Pillera**) wyszedł nr. 50ty i zawiéra: 1) Nawóz kompostowy uważany ze stanowiska chemii. 2) O użyciu niektórych płodów na karmę. Ustęp z katechizmu rolniczego. (Dokończenie). 3) Leczenie wodą zarazy racicznéj i pyskowéj u świń. (*Pract. Wochenblat.*) 4) Rzecz o lasach dla właścicieli lasów i urzędników ich. (Dokończenie). 5) Przyczyny chorób kartofli w ogólności i szczególności obecnie grasującéj (przez prof, Dr Frass, z Schlesheimu). 6) Czém jest nasz ziemianin a czém być powinien. 7) Czém jest sól kuchenna dla wegetacyi. 8) List do Redakcyi. 9) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Z Warszawy. *Bibliljoteka warszawska* za miesiąc grudzień zawiéra: 1) Objaśnienie teraźniejszego urządzenia rolników w dobrach ordynacyi Zamojskiéj osiadłych, pod względem stosunków największéj ich części z właścicielem, tytuł prawny stanowiącego; poprzedzić należy uwagą o stanie włościan, jaki był w roku 1833. 2) Doniesienia w przedmiocie historyi naturalnéj, przez Antoniego Wagę. 3) Innocenty III, przez Michała Gliszczyńskiego. 4) Ksiądz Gwardyjan, opowiadanie Józefa Korzeniowskiego. 5) Opis podróży po kraju, odbytéj przez 12 uczniów Instytutu agronomicznego w Marymoncie, pod przewodnictwem profesora Wojciecha Jastrzębowskiego, w czasie wakacyi, to jest w miesiącach lipcu i sierpniu r. b., przez Kryspina Swierzyńskiego. 6) Kronika literacka. 7) Rozmaitości. 8) wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych, i rejestr abecadłowy wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych z roku 1846. 9) Kronika bibliljograficzna. Doniesienia literackie. Dostrzeżenia meteorologiczne.

— *Ludwik Dmuszewski.* † Powszechnie znany i poważany L. A. Dmuszewski, Nestor sceny warszawskiéj, od lat 27 redaktor główny popularnego pisma »Kuryjer warszawski«; członek Towarzystwa dobroczynności, wice-prezes komitetu wsparcia podupadłych artystów muzycznych, dnia 9 grudnia o godzinie 2giéj po południu po dotkliwéj chorobie rozstał się z tym światem. Śmierć przerwała pasmo dni tego życia tak skutecznego, tak wylanego dla dobra ludzkości i tak ściśle splecionego z kolejami naszéj sceny. Życie Dmuszewskiego, to jéj kronika od lat pięćdziesięciu. Współczesny Bogusławskich, Żółkowskich, Dmuszewski ciągłym był świadkiem wzrostu, postępu i rozwijania się sceny warszawskiéj. Jako artysta dramatyczny, jako autor i tłumacz stu kilkudziesiąt dzieł, które dawniéj stanowiły repertoarz teatru, i nareszcie jako dyrektor teatrów, ważne i niezapomniane położył zasługi. Przy najsłynniejszych imionach sceny naszéj, zapisane jest imię Dmuszewskiego w poważnéj księdze jéj dziejów. Zapisane jest to imię w tém ulotnem pisemku, które przez lat 27 prowadził z takim taktem, z taką zręcznością, a które stało się potrzebą i chlebem codziennym wszystkich. Zapisane jest to imię w sercu rodziny, dla któréj był najlepszym ojcem, w tkliwych wspomnieniach przyjaźni, zapisane jest nakoniec to imię w modłach i błogosławieństwach nieszczęśliwych, którzy nigdy nie pukali daremnie do drzwi domu jego. Te drzwi zawsze otworem dla nich stały. Biédny, nieszczęśliwy, z ufnością przechodził te progi, gdzie go czekało chętne, ojcowskie a nie upokarzające wsparcie. Dmuszewski umiał dawać. On nie ciskał w oczy potrzebującemu twardéj jałmużny, ale dzielił się z nim swoim dobytkiem, jak z krewniakiem, jak z bratem. Ileż łez otarła ta ręka dobroczynna, z jaką szczodrotą siała dary, do iluż strapionych rodzin radość, pociechę i nadzieję wnosiła? Żył lat 70, za krótko dla społeczności, któréj był użytecznym członkiem, za krótko dla téj osieroconéj rodziny nieszczęśliwych, która od lat tylu witała i pozdrawiała go ojcem, i tuliła się i ogrzewała przy jego boku. Dmuszewski umarł z rezygnacyją chrześcijańską, umarł z pogodą na twarzy wśród żalu krewnych, przyjaciół, domowników, ani

spokoju téj śmierci żaden by najlżejszy wyrzut sumienia nie zachmurzył. Mąż zasługi, cnoty, poświęcenia, mąż, którego całe życie było wzorem pracy i prawości, zgasł na zawsze. Płakać nad nim będą żona, córka, a przyjaźń skargi rozwodzić, ale krzyk boleści najwymowniejszy, ale łza najgorętsza co na grób jego spadnie, będzie to łza nieszczęścia....

Akademija książęca. Jest taką wszechnica niemiecka w Bonn, gdzie roku bieżącego wielu młodych książąt z domów panujących, nauki pobiéra. I tak znajdują się tamże od lat kilku królewic Frydryk Pruski, książę Badeński, Frydryk książę Hessen-Homburski; na obecny zaś rok szkolny kazali się zapisać: królewic Aleksander Pruski, jeden z królewiców Saskich, tudzież książę Wilhelm Meklenbursko-Szweryński.

Odbyt kart do grania w Rosyi. W cesarskiéj fabryce w Petersburgu wyrabia się codziennie 1200 tuzinów, czyli 14.400 talij kart, co w ciągu całego roku czyni 5 milijonów 266.000 talij. A przecież i ta ogromna suma nie wystarcza jeszcze namiętnemu zamiłowaniu do gry mieszkańców Petersburga, gdyż niedawno podano do rządu, zachowującego sobie monopol téj fabrykacyi, petycyję o znaczne pomnożenie jéj wyrobów.

Przeciw cholerze. Radzca stanu dr. Spoezer, przełożony lekarz przy szpitalu panny Maryi w Petersburgu, zachwala powtórnie w lekarskiéj Gazecie Petersburskiéj nadzwyczaj pomyślny skutek, wynikający z używania zcieńczonego kwasu saletrowego przeciw cholerze. Z 76 ciężko chorych, leczonych tym sposobem podczas epidemii w r. 1831, umarło tylko 7 osób. Podawał on ten kwas do zażywania w skoncentrowanym odwarze salepowym lub też w owsianym albo jęczmiennym kleikn, biorąc pół aż do całéj drachmy na 8 do 10 uncyj, i osładzając wszystko należytą ilością syropu. Z początku dość było brać po łyżce stołowéj co 5 do 10 minut, późniéj, w miarę wzmagania się lub ustawania wymiotów, biegunki i kurczów, częściéj lub rzadziéj. Dziwić się wypadało, mówi dr. Spoezer, jak po kilku godzinach zwyczajnie nie tylko wymioty i biegunka, lecz oraz najgwałtowniejsze kurcze się uśmierzały, przytłumienie żółciowych i innych sekrecyj ustawało, a naturalne ciepło i wilgotność ciała wracały. Nacieranie ciała ciepłą oliwą, mycie gorącym octem zwyczajnym lub kamforowym, przyczyniały się do tém pomyślniejszego skutku.— Prócz uczonych poradników ogłasza też w Petersburgu pewna jasnowidząca we śnie magnetycznym niezawodne lekarstwo przeciw cholerze. Ma niém być olejek balsamowy, którego jednakże na nieszczęście nigdzie dostać nie można. Zgromadzona umyślnie na to rada najzawołańszych lekarzy i aptékarzy oświadczyła, iż ten środek nie znajduje się nigdzie jak tylko w biblii, w historyi pokutującéj Magdaleny, zkąd też i rzeczona jasnowidząca niewątpliwie go zaczerpnęła.

Louis Milhaut, młody talent rzeźbiarski, pojawił się dziwnym sposobem w Montpellier. Od niejakiego czasu postrzegali dozorcy przy nowo budującym się pałacu sprawiedliwości, że z odliczonych do budowy brył kamiennych, często niektóre z magazynu znikały, lubo nie można było schwytać złodzieja. Jednego zaś poranku znaleziono w magazynie małą płaskorzeźbę nieznajomego twórcy. Powstało powszechne radosne zadziwienie, przywołano budowniczego, ten pochwalił rzeźbę jako wyborny, prawdziwie artystowski utwór, a dopiero na to pojawił się jego twórca i przyznał się pokornie do wykradania kamieni, dodając, że nie był w stanie przemódz chęci spróbowania się w sztuce rzeźbiarskiéj. Nazywa on się Louis Milhaut, i pracował dotąd jako wyrobnik mularski, przyczém na skradzionych w nocy kamieniach bez wszelkiéj obcéj skazówki, w rzeźbiarstwie ciągle się ćwiczył. Oddano go w naukę pewnemu znakomitemu rzeźbiarzowi, u którego niedługi czas pobywszy, wykończył Milhaut w wolnych od nauki chwilach niedzielnych dużą płaskorzeźbę, mającą 80 centymetrów długości a 40 szerokości, przedstawiającą w obrazie bitwy mnóstwo postaci konnych i pieszych. Wszyscy unoszą się nad pięknością tego utworu. Król Ludwik Filip przyzwał młodego rzeźbiarza do Paryża i zlecił mu wykonanie posągu *abbé go* de l'Epée, przeznaczonego do zakładu głucho-niemych w Paryżu.

Zjednoczone Stany północnéj Ameryki rozciągają się w granicach swoich na 10000 mil ang. Brzegi morskie tworzą liniją 4000 mil. Jedna z rzék jest dwa razy tak wielką jak Dunaj, zaś rzéka Ohio jest 600 razy dłuższą jak Ren, a rzéka Hudson jest o 120 mil daléj spławną niż Tamiza. Samo państwo Wirginija. jest o trzecią część większe od Anglii. Państwo Ohio zajmuje 5.120.000 morgów ziemi więcéj niż Szkocyja. Z Maine do Ohio jest daléj niż z Londynu do Konstantynopola. Tym sposobem możnaby jeszcze więcéj przyrównań zastosować, co się tycze rozległości rzék, jezior, ludności i t. p,

Rozwiązanie zagadki Kolumba. Aby jajo kurze na sztorc postawić, należy je poprzednio przez parę minut dobrze skłócić, a po chwili równoważnie ustawić. Powietrze jakie natura dla rozwinąć się mającego kurczęcia zamknęła, oddzielone jest ukośnie błonką od płynu białkowego; przez tę więc ukośność, jajo bez skłócenia stawiane, punktem środkowym swéj ciężkości mija punkt podstawy i wywraca się, a po skłóceniu sprawującém pęknięcie błonki i zrównoważenie powietrza z płynem, dotychczasowa przeszkoda usunięta zostanie. To jest prosta przyczyna zagadki, któréj jużby dziś Kolumb przedłożyć nie mógł.

Poprawki przysłowiów. Przodkowie pozostawili nam zbawienne często przestrogi i rady w przysłowiach; jednakoż przeciąg czasu dozwolił wcisnąć się w nie wyrazom przeistoczonym, które myśl pierwotną niweczą, np. »pijany jak sztok« gdy powinno być »pijany jak Szkot« mieszkaniec angliskéj Szkocyi. — »Włóczy się poomacku jak Marek po piekle«; powinno być właściwie »jak mara po piekle.« — »Pańska łaska na pstrym koniu jeździ.« — właściwie na bystrym koniu, a najczęściéj na koniu, co zrzuca jeźdźca. — »Nie ten majster, co zaczął, ale ten co skończył« — gdy w świecie wręcz przeciwnie się dzieje; we wszystkiem bowiem, co podziwiamy i uwielbiamy, odnosim chwałę do tego, kto piérwszy myśl dzieła począł. I wiele podobnych mamy błędów, które sprostowania czekają.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.